

GŁOS MIŚLI WEWNĘTRZNEJ

Rok III.

Styczeń

Nr. 1.

Cena
30 gr



„W tym znaku zwyciężysz”

Treść.

Z Nowym Rokiem	1
W czyje imię to wszystko?	2
Sybirak — syn sybiraczki	8
Anno Santo... Rok Święty	11
Zwycięski upór	13
Źródło zła	15
W zimowy wieczór	18
Chore serce	20
Warunki przyjęcia do Apostolstwa Chorych	28
Z kursów Misji Wewnętrznej diecezji Śląskiej	31
Uroczystość ku czci św. Bernadety	32
Po święcie Niepokalanej	32

Ofiary.

Na cele Misji Wewnętrznej złożyli:

1. Pan Stebel, Różdzień-Szopienice 50,— zł
2. Komitet Święta Misji Wewn. w Król. Hucie (15. X.)
jako część zysku z Akademii 81,— zł

Ofiarodawcom serdeczne „Bóg zapłać!“.

*Diecezjalny Sekretariat Akcji Katol.
i Misji Wewnętrznej w Katowicach.*

W przyszłym numerze (nr. 2 — na luty)

Głosu Misji Wewnętrznej

→ **dodamy spis rzeczy za rok 1933**

Biblioteka Jagiellońska



1003046295

3089

11

CZASOP.

3(1934), 1-6

Z Nowym Rokiem.

Wchodzimy w trzeci rok istnienia Misji Wewnętrznej, symbolu rozumienia konieczności ratowania biednej, schorzałej duszy ludzkiej. Trzeci rok — a jakież obite i bogate plony! Ileż to synów i córek marnotrawnych powróciło ze łzami pokuty do Domu Ojca swojego? I jak zblakana owca radośnie powitana została przez Pasterza, tak duszę zblakaną przyjął z radośnie otworzonymi ramionami Kościół katolicki...

Misja Wewnętrzna działa! Modlitwa i ofiara to broń skuteczna!

Radosna a szlachetna duma ogarnia nas katolików, gdy spojrzymy poza siebie, gdy wglądniemy w dni minione — z serc naszych płyną głębie Wiary, z dusz wypływa zdroj miłości do Boga i bliźniego, stajemy w szeregach apostołów wewnętrznych, naszym skarbem to nie świat i jego blaski złudne a nietrwale — naszym szczęściem i prawdziwym skarbem to sam Bóg, to wiara w Jego dobroć, miłosierdzie dla nas i dla bliźnich naszych.

Idźmy więc dalej w roku przyszłym, roku 1934-tym zapatrzeni w Chrystusa Pana i Króla naszego, stańmy pod Jego sztandarem i jak mężne rycerstwo walczmy o prawa Jego tu na ziemi, przygarniajmy do Niego wszystkich opuszczonych i zbolących, którzy błądzą po manowcach i ludzą się, że na polu zasianem kłosem znajdują spokój sumienia i szczęście duszy.

Od nas samych zależeć będzie, czy plon osiągnięty w roku przeszłym, przy końcu 1934-go, rozszerzy się w dwójnasób.

Przejmijmy się nawskroś duchem apostołstwa, spełniamy jeszcze gorliwiej nasze obowiązki, promieniując bardziej modlitwą wśród otoczenia swojego, czuwajmy stale i wytrwale nad własną duszą i nad duszą bliźniego a zobaczymy, że Chrystus miłosierny podwoi zbiory na rozległych niwach serc i dusz naszych bliźnich i nas samych obdarzy obfitością łask sphywających z ojcowskiego Serca Jego...

Rok 1934 — rozpoczynamy jako trzeci rok publicystyczny działalności „Głosu Misji Wewnętrznej“. Poczujemy się też do milego i wdzięcznego obowiązku złożyć serdeczne życzenia nasamprzód Tobie, Najczcigodniejszy i Najukochańszy nasz Ojcie, Wodzu Misji Wewnętrznej, Ekscelencjo Najprzewielebniejszy Księżę Biskupie — oby Ci Bóg Wszchemocny, w Trójcy

jedyny, błogosławić raczył, zdrowiem i łaską obdarzył we wszystkich Twoich pracach, we wszystkich wysiłkach dla dobra dusz czynionych.

Potem Wam Przewielebni, Księża, Wam drodzy i kochani Przełożeni i Przełożone Bractw, Kongregacyj i Zakonów, Wam Członkowie Misji Wewnętrznej, a wreszcie Wam Czytelnicy, Kolporterzy i Propagatorzy „Głosu Misji Wewnętrznej” — niech Chrystus, Pan i Zbawca nasz, błogosławieństwo zsyła w pracach, najobfitszy źródło nieprzebranych łask Swoich ześle, zdrowiem Was obdarza po wszystkie dni życia Waszego.

I jedno jeszcze życzenie skromne ze strony Redakcji.

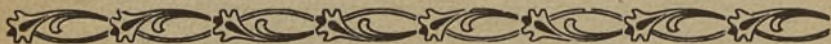
Rozszerzajcie „Głos” wszędzie, gdzie tylko jest możliwe. Niech wejdzie w skromne progi rolnika, robotnika, hutnika, górnika, rzemieślnika i kupca, niech przekroczy izbę inteligencji, adwokatów, doktorów, sędziów — niech wszystkich zbrata, wszystkich zjednoczy, jak braci i siostry.

Dajcie po przeczytaniu „Głosu” do ręki znajomym, zachęcajcie ich do abonowania, do stałego czytania — bo i to będzie Waszą zasługą, gdy bliźni, obojętny dotąd dla Wiary i Kościoła, stanie się wiernym synem Ojca niebieskiego.

Niech w roku 1934 nie będzie domu, czy izby, w którym nie byłoby „Głosu Misji Wewnętrznej”.

Jest to naszym skromnym życzeniem i prośbą zarazem, która — oby Bóg dał — niech się spełni jaknajrychlej.

REDAKCJA „GŁOSU MISJI WEWNĘTRZNEJ”.



W czyje imię to wszystko?

Codziennie, jako katolicy, żegnamy się nawet po kilka razy „w Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego”, codziennie mówimy w Ojczyźnie nasz — Święć się Imię Twoje — co roku zaczynamy Nowy Rok od Imienia Jezus.

Zadajmy sobie pytanie z całą stanowczością i odpowiedzmy na nie z całą szczerością — a więc nie tak, jak na komisariacie policji — ale tak, jakbyśmy gromnicę w rękę trzymali — czy te słowa „w Imię Ojca”, „Święć się Imię Twoje” — nie są tylko czcą i pustą formułką — czy uroczystość Nowego Roku z Imieniem Jezusa — nie jest tylko zwyczajem czysto obrzędowym — formalnym, czczym?

Pytaniem tem obejmijmy przede wszystkim jedną dziedzinę, bodaj czy nie najbardziej zachwaszczoną — bodaj czy nie najwięcej wymagającą katolickiej oceny — i prześwieślenia jej promieniami Boskiego Imienia, bo zaciemniają ją ogromne opary fałszu i faryzaizmu.

To dziedzina naszego narodowego katolicyzmu, katolicyzmu polskiego, obywatelskiego — ale czysto katolickiego — bo o ten nam chodzi.

Gdyby nam ktoś śmiał zarzucić, że Polska nie jest katolicka — pokazalibyśmy mu ze świętem oburzeniem historję i udowodnili, że zaszczytny tytuł „Przedmurze Chrześcijaństwa“, jaki sobie zdobyła Polska, „Zawsze Wierna“, to nie czczy frazes — ale klejnot, zdobyty serdeczną ciepłą krwią, którą lali Polacy a lali obficie na polach walki z dziczą pohańskich Tatarów i Turków.

Znana była z tego Polska, tak dobrze znana, że gdy raz Polacy przyszli do Papieża Piusa V i prosili go o relikwię dla Polski — Ojciec św. odpowiedział: „Polacy, poco wam relikwie — weźcie tylko garść waszej polskiej ziemi i ściśnijcie ją, a krew święta męczeńska z niej wytryśnie.“

Ten święty klejnot narodowy „Przedmurza Chrześcijaństwa“ odnowiliśmy i nową krwią ożywili w r. 1920, kiedy stanęliśmy do apelu pod Warszawą. i — choć niesłychanie wyczerpani półtorawiekową niewolą — zrobiliśmy mur z żywych ciał przed pogaństwem i dziczą XX wieku.

Ten niesłychany czyn nazwał świat Cudem nad Wisłą — a świadkiem tego cudu był obecny Ojciec św. Pius XI.

Zmartwychwstanie Polski i ów wiekopomny Cud nad Wisłą, to była nagrodą od Boga za nasze dawne ofiary dla chrystjanizmu — i za żywe cnoty teologiczne Wiary i Nadziei, które nawskroś poprzerastały nasze dusze i serca, co się tak przejawia w dziełach naszych wieszczów.

Kiedy cnoty Wiara i Nadzieja sprowadziły cud Zmartwychwstania — teraz powinna ogarnąć swym ogniem wszystkie serca cnota Miłości, trzecia cnota teologiczna.

My Polacy znani jesteśmy, że umiemy walczyć i umierać za Polskę — na takie bohaterstwo zawsze nas stać. — Ale nie umiemy ponosić dla Polski drobnych ofiar, nie umiemy wytrwać na codziennym froncie życia twórczego — ofiarnego. Nie umiemy dla Polski żyć — bo brak nam trzeciej cnoty teologicznej — brak nam wzajemnej miłości — która jest ostoją każdego szczęścia a więc i narodowego.

A jakto — czy cnota Miłości nie dopomagała do Zmartwychwstania Ojczyzny? O i jeszcze jak! Kochaliśmy Polskę i to bardzo, i tęskną myślą i przecuciem i różaną wyobraźnią zawsze widzieliśmy Ją; przeczystą, przepiękną, przedobłą, i dlatego walczyliśmy o Jej życie polityczne.

A gdy zmartwychwstała — to tak się do Niej odnosimy, jakby zrobiła nam zawód a — właśnie myśmy Jej zawód zrobili.

Tak dużo Jej zarzucamy, tak wielu brakami razi nas i zniechęca — Czemu? Bo zapominamy, że Polska — to my

— gdyż Polska to nie mapa — Polska to każdy jej obywatel — z cnotami, czy wadami. Myśmy niecnotliwi, niedobrzy, niewyrobieni — a pomawiamy o to Ojczyznę.

Bądźmy sprawiedliwi w Imię Tego, do którego modlimy się „Święć się Imię Twoje“. Niech się to Imię święci w sprawiedliwej ocenie siebie a potem Ojczyzny.

Źle nam w odrodzonej Polsce, bo brak nam trzeciej cnoty teologicznej — brak nam Miłości.

A tej cnotcie najpotworniej przeszkadzają dzielnicowe czarne okulary i choroba oczu t. zw. partyjność, przez co nasze oczy tak są okaleczone, że w braciach naszych z byłych dzielnic i innych partyj widzimy tylko same błędy, same wady — a cnoty ani jednej.

A czy to jest po katolicku? Czy tak można postępować w Imię Jezusa?

Cobyśmy powiedzieli o takiej rodzinie, która, gdy się wreszcie odnalazła po rozbiciu i rozproszeniu wojną światową — miast się cieszyć do szaleństwa i witać się wśród łez radości — zaczęłaby się boczyć na siebie, wyzywać, nienawidzić, prześladować.

Myśmy taką rodziną, która po półtorawiekowej rozłące gdy się znalazła znowu w domu Ojczyzny Matki, to się boczy na siebie, gniewa, przeklina, potępia wzajemnie. Jady dzielnicowe i partyjne tak zgangrenowały nam katolicką duszę — że nawet uwierzyć w to byłoby trudno, gdyby nie smutne fakta.

Może być nieraz najuczciwszy i najporządniejszy Polak, najbardziej wartościowy i twórczy — ale, że miał nie-szczęście urodzić się w innej dzielnicy niż my, i nie chce przystąpić do naszej partji, jest przez to w takim stanie grzechu, aż mu przebaczyć nie można i nie wolno — bo na to dzielnicowa i partyjna sprawiedliwość nie pozwala.

A czy to po katolicku, czy to przysporzy światła Imieniu Jezusa? Zdejmijmy choć na chwilę, choć w czasie czytania tego artykułu i odrzućmy te potworne, dzielnicowo-partyjne okulary, dopuśćmy promień Bożego światła na oczy naszej duszy, a przekonamy się, ile to cnót prawdziwych — niesłychanie wartościowych, godnych uznania i naśladowania mają nasi Polacy z innych dzielnic.

Popatrzmy uzdrowionemi oczami nauki katolickiej na największą była dzielnicę — Kongresówkę.

Wiemy, czem carskie prawosławne rządy karmiły tam duszę Polską i tak strasznie zachwaścili ją, że nasz wieszcz niemal z rozpaczą wołał: „Niczem Sybir, niczem knuty... lecz Narodu duch zatruty, to dopiero bólów ból“. —

Świadome a nawet opłacane psucie duszy polskiej miało w niej zupełnie zabić najpierw wiarę religijną, a potem wiarę w odrodzenie Ojczyzny.

I wtedy, kiedy zdawało się, że dusza polska jest już tylko trzęsawiskiem zła i rozkładu — wtedy zjawia się nagle najcudniejszy kwiat na niwie tej duszy zbiorowej — zjawia się twórca „Quo vadis“, Trylogji, Bartka Zwycięzcy i wielu innych arcydzieł, które pokazały całemu światu, czym są Polacy. Sienkiewicz nie tylko pokazał światu, że Polska żyje i to Polska potężna duchem — ale nauczył cały świat kochać tę Polskę. — Sienkiewicz był ambasadorem Polski w sercach ludzi całego świata.

Ale też Sienkiewicz nauczył się miłości Ojczyzny z Ewangelji — a nie z podręcznika partyjnego.

A któraż to dzielnica utorowała drogę na Sybir, Kamczatkę, czyje tam kości biela się w tajgach, okute zardzewiałymi łańcuchami?

Któraż to dzielnica ma tylu świętych niekanonizowanych jak Podlasie i Chełmszczyzna, rozstrzeliwanych, sieczonych najhalkami przez kozaków i tatarów za Wiarę katolicką, za Miłość polskiego pacierza?

Badźmy sprawiedliwi w Imię tego Jezusa, dla którego oni tak cierpieli. — Bóg wie, czy nas stałoby było na takie bohaterstwo. O żyjących byłych Kongresowiakach, których imiona przejdą do historii, nie mówmy, bo oni jeszcze swych dzieł i pełnomocnictwa nie dokończyli, tak jak dokończył Ks. Skorupka.

A były zabór pruski, okrzyczany jako nawskroś zmaterializowany — czy nie ma Wrześni, więzień — piasków Magdeburgskich? — A za co? Tylko za religijną miłość Ojczyzny. Prawie 700 lat przetrwał Ślązak i nie przestał być Polakiem, mimo całej wściekłości Hakaty — a więc jest tam duch moczarny i godny naśladowania. Że śląska pobożność nie jest etykietą lub formą tradycji — to zawdzięczamy matce ślązaczce — obok duchowieństwa polskiego.

Jakiemi cnotami świeci były zabór pruski?

Jak pracować w duchu obywatelskim, jak się leczyć z wywrotności i lekkomyślności — tego daje nam lekcję niesłuchanie pouczającą zwłaszcza Poznań z Ks. Wawrzyniakiem i innymi na czele.

Poznań uczy, jak podporządkować wybujały indywidualizm polski pod dobro ogólne Narodu w imię solidarności państwowej.

Polska nie potrzebuje uniwersytetu pracy, bo ma Poznań. Pięknie to zauważyła młodzież akademicka, gdy przy otwarciu stacji radiowej we Lwowie takie pozdrowienie przesłała Lwiemu Grodowi: „Oby cała Polska co do pracy była Poznaniem — a co do miłości Ojczyzny Lwowem.

Lwów należący do byłej Galicji, jej stolica, któżby go śmiał nie kochać? Małopolska nie tylko umiała godnie strzedz

serca historycznej Polski — Wawelu — ale tam ściągąła Polaków ze wszystkich dzielnic, tam ukazywała im historyczną sławę Polski. Uniwersytet Jagielloński z Akademią Umiejętności stał na straży wygnanej zewsząd nauki polskiej — a wieża Marjacka co godzina brzmiała tym samym hejnałem co za dawnej Polski. — Ona rozbioru Polski nie uznawała. — Jej hejnał drugi raz nie urwał się, mimo że serce Polski było trzema mieczami ugodzone. Zygmunt stale wydzwaniał dawną chwałę Polski i wieścił Jej Zmartwychwstanie.

Matejko, Wyspiański, Szujski i inni małopolanie umieli palić znicz miłości Ojczyzny.

W Małopolsce, w Krakowie dokonała się organizacja pierwszej armji przyszłej odrodzonej Polski. A małopolskie miasto Orląt, miasto samych bohaterów, Orli a Lwi Gród, Lwów, który z własnych ciał budował okopy i wroga za nie nie przepuścił, czyż on nie przysporzył całej Polsce chwały?!

Trudno w jednym artykule pozbierać wszystkie cnoty dawnych dzielnic z nazwiskami ich wielkich synów, ale choćby z tego szkicu widzimy, że są, i nie sztucznie odnajdywane, ale aż w oczy bijące.

„Brzydki to ptak, który własne gniazdo kala“ mówi nasze przysłowie. — Nie kalajmy Ojczyzny! Umiejmy i chciejmy widzieć cnoty naszych braci, bo tego wymaga religja Jezusa, w którego Imieniu ochrzczeni jesteśmy, a według Jego Nauki nie wolno kogokolwiek źle sądzić. — „Nie sądzcie, a nie będziecie sądzeni“.

A my tak gwałcimy ten zakaz, i nawet za grzech tego nie uważamy.

Ale znana to jest rzeczą, że żaden człowiek nigdy nie chce uznać za grzech tego przestępstwa, które sam często popełnia, lub przynajmniej wszelkimi argumentami chce zmniejszyć ciężkość tego grzechu.

W Polsce grzech nienawiści dzielnicowej i partyjnej jest tak powszechny, że wielu chciałoby go skreślić z listy grzechów, bo rzekomo bez niego nie można żyć normalnie.

Ładny katolicyzm — ładny przykład dla innowierców, wiedzących, że codziennie mówimy „Święć się Imię Twoje“ „i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy“.

A co zrobilibyśmy lekarzowi, któryby nam stale tylko rozdrapywał rany a nie goił? Zrobmy to ze sobą.

A teraz jeszcze jeden wielki ogólnodzielnicowy grzech — popełniany i przez katolików Polaków względem własnych Polskich Rządów w Warszawie.

My katolicy Polacy znamy powiedzenie Boskie w Piśmie św.: „Wszelka władza od Boga jest“, „oddajcie cesarzowi co jest cesarskiego“, a jak postępujemy? Do zaborczych rządów umieliśmy te Boskie powiedzenia stosować i bywaliśmy nieraz aż zanadto lojalni. Do ojczystych zaś rządów

tylko wtedy stosujemy te słowa, gdy w tym rządzie zasiadają ludzie tylko z naszej partji.

I niechby się ktoś odważył w imię Nauki Jezusa twierdzić, że do wszelkich rządów odnoszą się te słowa, bo najwyraźniej mówią: „wszelka władza od Boga jest“, to gotowi niejedni katolicy Polacy nawet bluźnić i twierdzić, że Bóg nie mógł mieć na myśli tych czy innych rządów, bo oni ich nie uznają. Ale powtarzają słowa „Kochajcie nieprzyjaciół waszych...“, „odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy“.

Ale korzystać ze subwencji, ulg od danego rządu, to się chętnie korzysta i bez rumieńca wstydu.

Wymagamy, by każdy rząd był katolicki, a tym katolikom, którzy są w rządzie, dokuczamy, że pracują z danym rządem „nie z naszej partji“.

I dla tego, że dane rządy nie są z naszej partji, fałszuje się zeznania podatkowe, szmugluje się towary bez cła, wyzyskuje się ciężkie położenie państwa. — Ale kogo się wtedy okrada — oszukuje? — siebie, swój ojczysty dom — swą Matkę Polskę!

I czy to jest godne katolika, szcycącego się nazwą Chrystusa?

Szał partyjny zabetonowanych głów nie uzna tego nigdy — dla nich raczej niech zginie Polska, gdy ich partja nie rządzi.

Dla nich istnieje tylko krytyka, złość, potępienie, ale nie dziwnego — bo to broń ludzi słabych. Jeśli tacy siebie uważają za katolików Polaków, to tylko hańbę przynoszą Chrystusowi; do nich się Jezus nigdy nie przyzna, choćby się co sekundę na Niego powoływali, bo dla nich nigdy Imię Jezus nie było i nie jest świętością życiową.

My prawdziwi katolicy Polacy kochajmy Ojczyznę, ale nie jako mapę, lecz jako zbiór obywateli, braci naszych, synów jednej Matki — bośmy — Polakami.

Kochajmy Polskę mimo Jej wad, bo zresztą Jej wady to nasze wady, przebaczajmy sobie wzajemnie, bośmy przecież katolikami. Tylko niewinni mają prawo sądzić winnych.

Błędy braci naszych — to źródło zasług dla nas — tak uczy Jezus. Wtedy Bóg i nas łatwiej rozgrzeszy — gdy mówić będziemy: odpuść nam nasze winy — bo i my odpuszczamy.

Polacy katolicy, zburzmy wreszcie raz w imię Miłości Jezusa i Ojczyzny wszystkie dzielnicowe i partyjne kapliczki a zbudujmy wielką duchową świątynię, w której ołtarzem niech będzie cnota Miłości powszechniej.

Kochajmy całą Ojczyznę ze wszystkimi jej zaletami i wadami, bo tego wymaga pod utratą zbawienia Ten, do którego modlimy się „Święć się Imię Twoje“. Zacznijmy tę zbawczą pracę, my członkowie Misji Wewnętrznej, zacznijmy ją z Nowym Rokiem w Imię Jezusa.

X. J. Cz.

Sybirak — syn sybiraczki.

Porwali ją z niemowlęciem kilkumiesięcznym i gnali wraz z innymi w Sybir!

Noc była mroźna a jasna; matka wygnanka tuliła dziecko do serca, bo chyba tylko sercem mogła je ogrzać w tej białej śniegowej pustyni... Szli tak już trzy dni... przycisnęła swe usta do warg Janka... zadrżała... paliła je gorączka!

Myśli posępne i złowrogie przeczucia opadły jej na duszę, niby stada tych kruków ciągnących nad głowami wygnańców! Dziecko raz bladło, to znów pasowało, a było tak ciche, że chwilami stawała, nadsluchując czy żyje!...

Nagle krzyknęła biedna matka i — padła złamana na step śniegowy, przycisnęła dziecko do piersi, mocno... gwałtownie... bo chciała je wydrzeć śmierci, która sine swe znaki kładła na drobnych skroniach.

— „Kona“ — szepnęli niektórzy z wygnańców. „Zostaw je, rzekli inni do matki — bo dola tych, których śmierć zabiera, znośniejsza niż życie w tem straszonym mrozie!“

Naprzód! padł głos komendy... i poszli... a matka została. Widziała jak niejeden zwrócił twarz ku niej. Potem... maleli coraz bardziej... została sama z dzieckiem wśród wichru, lodu, śniegowej zamieci! Błagalnie podniosła dziecko ku Niebu — Matko — wyrzekła — Najświętsza — Niepokalana — życie moje weź w zamian za życie dziecka... ja Ci przyrzekam — ślubuję, że jeśli wrócisz mu zdrowie, to go poświęcę na służbę Twoim Ołtarzom! I znów utkwiała wzrok czuły, macierzyński w drobnych rysach ukochanej dzieciny, a mały Janek uśmiechnął się radośnie, jakby ją zapewnić pragnął — ja zdrow będę, Marja przyjęła prośbę Twoją! Ostatnim wysiłkiem dowlokła się nieszczęśliwa kobieta do jakiejś osady.

Dobrzy ludzie przygarnęli ją do siebie na stałe. — Synek powracał do zdrowia, choć sił żywotnych było w nim niewiele, umysłowo rozwijał się nadzwyczajnie i gdy podrósł, zaczął się uczyć.

W skwarny dzień lipcowy stanął we furtce jednego klasztoru litewskich Dominikanów młodzieniec. Towarzysze jego rozjeżdżali się na wakacje — on nie miał gdzie i do kogo jechać, bo matkę, która go niegdyś zachowała od śmierci, już okryła ciemna mogiła... W błagalnych słowach prosił o przyjęcie do Zakonu, gdyż jak mówił — pragnie spełnić śluby swej matki, poświęcić pracę, życie i siły Tej, która wyratowała go od śmierci.

I opowiedział całą historję, jak nić dziecięcego życia jego rwała się — ale Matka Niebieska przyjęła prośby matki ziem-

skiej... Ojcowie słuchali ze wzruszeniem; patrząc jednak na smukłą, o ceglastych rumieńcach postać młodzieńca, lękali się przyjąć go do zgromadzenia — zdawało się bowiem, że wycieńczony nurtującą chorobą, wątły organizm nie znieśnie surowości zakonnej reguły. Lecz jeden z Ojców, starzec sędziwy, uspokoił obawy innych. — Lepiej — mówił — umierać wśród ciszy klasztoru, niż wrzawy świata! Cóż stąd, że umrze? Garść prochu więcej dla ziemi — jedna dusza więcej dla nieba — dusza modląca się za nami — za ojczyznę — za Kościół — przed tronem Boga!

W miesiąc później u Ołtarza Królowej Różańca świętego włożono nań habit — na pierwsze imię dano mu Marja, gdyż prosił o to, jako o największą, jedyną łaskę, na drugie Ireneusz — od greckiego wyrazu „Irene“ — co oznacza pokój! Nazwano go tak, gdyż z każdego spojrzenia, słowa, ruchu młodego nowicjusza wiał jakiś dziwny, nieziemski spokój!

Po wielu latach w uroczystość Matki Boskiej Zielnej — kiedy to zawsze gromadziły się tłumy około cudownego obrazu Bogarodzicy w kościele Dominikańskim, w tym roku liczba pobożnych zwiększyła się wobec wieści, że nowowyświęcony kapłan odprawi pierwsza Mszę św., włoży ręce na głowy wiernych.

W długim szeregu postępowali zakonnicy i księża odziani w świąteczne szaty kościelne — a poza nimi w złocistym ornacie, w białym kapturze na głowie siedł Ojciec Marja Ireneusz. Szedł — jakby nad całą ziemię wyższy, oczu nie podniósł na tłum, który go otaczał zewsząd, a jednak patrzącym zdawało się — że on widzi wszystkich i przed ołtarz dźwiga ich brzemie, ich łzy, cierpienia i smutki. Jeżeli ten nie jest świętym — szeptali do siebie — to chyba już niema świętych na ziemi. Przy ołtarzu z piersi młodego kapłana popłynął hymn „Gloria in exelsis“ — a w głosie jego, choć słabym, dźwięczały na przemian wszystkie radości szczęśliwych, łkały jęki uciśnionych i biednych. Sądziłbyś — że on to wszystko wchłonał w siebie, złożył u stóp Wszechmocnego, wyblagał — wyżebrał ukojenie.

Odtąd spokój jeszcze głębszy rozlał się na jego twarzy. Modlił się tak gorąco, tak szczerze — aby choć jedną Mszę św. odprawić w uroczystość Marji. Prośba była spełnioną! Teraz czekał, kiedy śmierć przyjdzie i wywiedzie duszę z umęczonego ciała — uwolni z życia, które po ludzku mówiąc, ciążyło mu ołowiem. Przed świętami tylko Niepokalanej wstępowały weń nowe siły, siedł wówczas do przełożonych z prośbą, aby mu pozwolono przemówić z ambony o Marji. Opierano się temu, ale kiedy w nim było coś tak tkliwego, że odmówić jego prośbom było wprost niepodobieństwem, więc dostał pozwolenie. Mówił o Niepokalanej tak,

jak by ją znał, widział, z nią rozmawiał — jako o istocie bliskiej, bardzo ukochanej — jednego zrozumieć nie mogąc, czemu tyle serc jest dla niej obojętnych i zimnych!...

I znowu nastawały długie dni cierpień, konania, agonji, cierpiał i nigdy nie wypuszczał z rąk różańca, prosząc, by Matka Bolesci przyjęła Różaniec jego cierpień i spełniła jeszcze jedno jego pragnienie.

We Wilnie słynie cudami obraz znany pod nazwą: „Matki Boskiej Ostrobramskiej“. Ale któż z Polaków o nim nie słyszał?

„Ach! tam — tam przemówić o Niej i — skonać, powtarzał często O. Ireneusz, a Marja znowu spełniała pragnienie wiernego sługi. Dzień przed oktawą Opieki Królowej nieba i ziemi śpieszył młody kapłan z kazaniem do Wilna. Przed wyjazdem serdecznie żegnał się z braćmi Zakonu, a biorąc błogosławieństwo od Przeora, wyrzekł do niego: „mam przeczucie, że nie wrócę... ale... to nic!...“ Na drugi dzień tłumy ludu z zapartym oddechem słuchały Dominikanina!... Mówił im, jak Marja wśród narodów ukochała szczególnie naród Polski — jak wszystko, co było w Polsce potężnego, wielkiego, spływało za Jej przemożną przyczyną, jak Ona zdeptała wszelkie zło, które lubej groziło ojczyźnie. A kiedy wspomniał, że dziś nie zapomniała korony swojej niegdyś lśniącej i złotej — dziś gęsto cierniem przetkanej — na której nie jedna kropla krwi, nie jedna łza błyszczy — gdy mówił o tem, dreszcz przeszedł po obecnych — wzbil się jęk w powietrzu bez miary i końca, bo tam nie było nikogo, ktoby nie czuł cierni, kogoby nie paliły łzy.

Przechucie O. Ireneusza spełniło się, bo już nie powrócił do klasztoru, tylko poszedł na śnieżny step Sybiru!

Szedł z żołnierzem — ale po kilkudziesięciu wiorstach padł i leżał na ziemi w białej szacie i czarnym płaszczu, którym wiatr igrał na wsze strony. Błada twarz jego wskazywała wymownie, że dalej iść nie będzie mógł. A żołnierz krążył dokoła, chmurny, posępny i mówił do siebie: „na cóż mu było wspominać o tej Polsce, poco przenosić karę nad wolność — taki młody... dziecko prawie“... Zbliżył się, patrzył w twarz zakonnika i słuchał... „Tak... szeptał kapłan — te myśli rozsadzały mi skronie, cisnęły się na usta gwałtownie — musiałem powiedzieć, może zamało jeszcze ofiar!... Och! jak boli, jak strasznie boli, tu w piersiach — tu w sercu!...“ I wziął w ręce wiszący u pasa różaniec... „może to tutaj, mówił — Marjo — na tem miejscu wyratowałaś mię od śmierci — więc i teraz pocieszysz... Nie opuścisz!“ Modlił

się, aż za każdym słowem widocznie nabierał siły... „Tak, nie żądałem szczęścia od ziemi, szukałem tylko spokoju. „Irene, irene“ — pokój, pokój — wiedzieli jak mnie nazwać — to imię sprawdzało się w mem życiu — było wyrazem każdej myśli — każdego słowa — czynu, bólu... cierpienia — dzięki Ci za to, o Marjo!“ Nagle pobladł, pierś wezbrała — usta dotąd sine zarumieniły się — strumień krwi buchnął gwałtownie z piersi i zboczył biały habit! Żołdak myślał, że to już śmierć i modlił się za jego duszę... Wtem zakonnik rozwarł oczy a usta jego szepnęły — „druga część — różańca bolesna“... Nastąpiła znowu chwila modlitwy i znowu popłynęło westchnienie: „Smutną była dusza Twoja o Jezu — w godzinie walki Ogrojcowej opuściłeś Matkę Swoją — dopuściłeś na Siebie opuszczenie własnego Ojca — aby odtąd nikogo z Twych dzieci nie opuszczają na ziemi!“...“ Potem twarz jego rozpogodziła się — nawet uśmiech przybłąkał się na ustach. Strażnikowi gruba łza spływała po żołnierskich licach — stał i nadśluchiwał modlitwę. A on powtarzał... „Zmartwychwstanie Chrystusa z grobu... Wniebowzięcie... Ukoronowanie wieczną chwałą w niebie“...

Zakonnik umierający zebrał resztkę sił i ukląkł: „Oto już idziesz, zawołał — widzę Cię, widzę... tak jak śpiewa o Tobie Kościół: — otoczoną różami wśród lilij i konwalij — tutaj... w tych lodach... — w tej zamieci — weź mnie ze sobą — nie odchodź — nie porzucaj — nie pozostawiaj!“

Żołnierz zdjął czapkę i padł na kolana: widział, jak wśród ciemnego zmierzchu wieczora czarne oczy kapłana patrzyły w dal przed siebie, rozszerzały się niepojętym blaskiem, ręce wyciągnięte zdały się trzymać kogoś — a usta zamykały się w uśmiechu bez kurczowych wstrząśnień...

Nad Sybirem przeleciał cichy anioł śmierci, bielsze od śniegu skrzydła rozpościerał nad dzieckiem Marii O. Ireneuszem.

ANNO SANTO... ROK ŚWIĘTY.

W bazylice św. Piotra Apostoła w Rzymie uroczyste święto. W orszaku dostojników Kościoła przybywa Namiestnik Chrystusa do swej świątyni, by rozpocząć 1900-letni jubileusz od dokonania Odkupienia przez Mękę i śmierć krzyżową Chrystusa na Golgocie. Rozpoczyna „Anno Santo“ — Rok święty — przez odmurowanie symbolicznej bramy jubileuszowej...

Tak, symbolicznej, bo chce przez to pokazać, że w świecie całym mają się szerzej otworzyć wszystkie kościoły, a w nich wszystkie źródła łaski i miłosierdzia Bożego mają szerzej

popłynąć. I we wszystkich sercach i duszach mają się odmurować zamurowane dotąd dla wpływów niebieskich bramy sumień.

Zamurowaną bramę bazyliki papież otwiera, aby we wszystkich częściach świata, we wszystkich narodach, w każdej duszy ludzkiej odmurowano bramy Jezusowi Chrystusowi i Bogu.

Alboż to bramy serc ludzkich, serc katolickich, zostały zamknięte, zamurowane dla nieba?

Najczęściej tak — zwłaszcza w wieku naszym.

I pracuje nad tem w pocie czoła wielu „wolnych mularzy“, aby zabić, zamurować, a przynajmniej zasłonić okna i drzwi duszy swojej, serca swego, odciąć je od wpływów nieba.

Człowiek jest swego rodzaju domem, zbudowanym ręką Wszechmocnego w świecie istot niezliczonych. Od całości wszechstworzenia wyodrębniony, ma jednak dostęp do niego przez okna zmysłów. Natury rzeczy nie dotyka, lecz na nią tylko wygląda przez okna wzroku, słuchu, powonienia, smaku, czucia. Przez te drzwi i okna wychodzi i wygląda na świat poza sobą.

Ponieważ jednak te władze powierzchownie tylko ogarniają świat, dał mu Stwórca Bóg cudowne okno, jakby na wyższym piętrze domu, z którego człowiek może na świat popatrzeć od wewnątrz i głębiej wnikać w jego tajniki, labirynty, wiązania i belkowania całego gmachu wszechstworzenia. Tem oknem jest rozum. On jeden dociera do jądra, istoty rzeczy, on jeden widzieć może Boga.

Jak wieki dziejów ludzkich odniosły się do tego swego domu?

Jedne w sposób prymitywny, drugi — więcej kulturalny, inne wreszcie obeszły się z nim na sposób barbarzyński.

Prymityw ludzkiego życia ludów używał tych okien, to prawda, lecz nie zabardzo dbał o ich sprawność, o świetny stan, o przejrzystość nieskalaną ich szyb. Zwłaszcza to wyższe okno domu traktowane bywało po macoszemu — rozum zdrowy. Tu bardzo często szyby bywały z pęcherza, z błon, ze szmat... Wieki kulturalne dały tu szkiełka oprawne w ołów, potem szybki zakopcone, zamalowane pajęczyną, wreszcie szyby o królewskich rozmiarach i blasku.

A barbarzyńcy to wszystko zamurowiają...

Człowiekowi, obdarzonemu przez Boga wzrokiem, wydierają oczy, wylupują, — zamurowiają w nim to śliczne okno na świat Boży... kaleczą słuch.

Barbarja zamurowuje...

I tak się rozpędziła do młota i kielni, tak zapaliła do strasznej swej roboty, że przerzuciła się aż w wieki zdawałoby się oświecone, by murować, zamurowywać w człowieku przedewszystkiem to wyższe okno rozumu.

Jeżeli pozbawienie oczu jest bolesnem i uciążliwem kalectwem dla człowieka, jeżeli tępota lub obumarcie innych zmysłów jest niedolą nie do opisaną dla niego, to cóż powiedzieć o zamurowaniu bodaj jednej szybki maleńkiej w rozumie ludzkim?!

Cobyśmy powiedzieli ó barbarzyńcy, któryby zechciał wykreślić z umysłowości ludzkiej np. dział historii, usunąć geografję czy archeologję, skasować książki z bajkami dla dzieci i wyrugować ze świata nawet tę nieodpowiedzialną i nieopowiedzianą kanwę fantazji — powieść? Tego ludzie nie zrobią, choć robili czasem barbarzyńcy, gotując sobie końskie mięso na rozżarzonem popielisku spalonych bibliotek...

Kultura odmurowuje. Im więcej widzi, poznaje, rozumie, tem więcej jeszcze chce widzieć, poznawać, pojmovać i świat i zaświaty — nieskończoność. Gdzie dojść nie może utrudzoną stopą, tam skrzydła przypina do ramion. Barbarja natomiast — zamurowuje...

Najwyższa specjalnie szyba w oknie rozumu ludzkiego stale zawadza barbarzyńcom. Chcą zamurować ją za wszelką cenę. Z dziedziny rozumowego poznania chcą wykreślić, wygładzić religję.

Zamurować to okno — bez miłosierdzia!

To hasło niewątpliwe wieku, w którym żyjemy. Nikomu ono nie tajne. I godzą się na nie poniekąd nawet ci, co bez presji „murujących“ reżimów tegoby nie czynili, praktykując religję po swojemu, w duchu swej sekty.

Jedno tylko wyznanie odmurowuje!

Jego najwyższy Wódz co pewien okres czasu w obliczu wszystkich wiernych i w obliczu wszystkich ludów staje wobec bramy świętej i uderza młotkiem, żeby ją otworzyć, odmurować.

Aby odmurowane zostało to okno Boże w duszy każdej, jeśli tam przypadkiem zamurowała je ręka barbarzyńcy...

Własna, czy cudza, wielka, czy mała, lecz w każdym razie wypielęgowana w barbarji...

Zwycięski upór.

Byliśmy od niedawna w szeregach, pędzeni na Wschód najpierw koleją, potem pieszo lub wozami. Czternastu chłopaków z K..., I... i Gęsi, do jednego pułku przydzielonych, trzymało się wciąż ze mną. O dyscyplinie, o nabożeństwie, nie było jeszcze wiele mowy. Ale skoro przybyliśmy na miejsce, przy pierwszej galówce (święto cesarskie) kazano nam pójść do cerkwi. Odmówiliśmy jak jeden człowiek. Strach i zdumienie ogarnęły wszystkich. Niesubordynacja wojskowa, sąd doraźny, kula w łeb! Pułkownik, pijanica, ale niezły człowiek, rzekł: „Duraki! To takie jeszcze głupie, że nic nie rozumie.

Każdego z osobna nauczyć trzeba, co znaczy militarne posłuszeństwo!“ I każdego z osobna brał podoficer i uczył, co znaczy przysięga i służba, że się nigdy nie mówi: Nie! — bo za to śmierć, bo przykład, bo cała obrona i potęga państwa, bo car... A gdy każdy pojął rzecz dobrze, pytał ich: „No i cóż? Pójdziecie?“ A wszyscy odpowiedzieli z pokłonami: „My na to głupi, ale przyobiecaliśmy ojcom naszym, że zawsze tak zrobimy jak nam Wiktor każe.“

Wezwano mnie przed porucznika.

„Wiesz ty dobrze“, pytał, „o co chodzi? I co robisz?“

A ja milczałem.

Zagrały trąbki. Stanęliśmy w szeregu na polu i dano rozkaz wymarszu do cerkwi.

A ja się nie ruszyłem. I zostało nas samych piętnastu. Pułkownik to dostrzegł i kazał wszystkim przystanąć. A wojsko całe patrzyło na nas: ludzie nawykli do kar i kułaków za guzik niedopięty u szynela, za opóźnienie jednej chwili, za ruch niezgrabny przy egzercyrce!

Pułkownik wezwał mnie przed siebie i przemówił, a głos jego trząsł się z gniewu i rozżalenia:

„Czyś ty oszalał?! chłopcze! Już w tej chwili powinieś dostać kulą w łeb, ale mi żal twojej młodości, żal bardziej jeszcze tamtych głupców, którzy tobie wierzą i zginą przez ciebie. Przysięgaliście carowi. W papierach waszych zapisani jesteście jako prawosławni. Słuchać musicie. Zwarzawołeś! to pewna. Wszak widzisz te rzędy karabinów. To cała siła Rosji na ciebie patrzy. To bunt, za który jedno moje skinienie zwróci do was te wszystkie lufy i rozniosą was na pył. Tyś uparty, ale więcej rozumiesz od drugich. Żeś heretyk i głowa przewrócona to widzę. Ale przecież ta sekta twoja musiała cię nauczyć, że szafować własnem życiem, to mniejsza, ale stać się katem czternastu swoich braci, odjąć synów matkom, co tam na nich czekają, to grzech, to okrutny grzech! No, przemów do nich! Powiedz im, żeś się zadurzył, że mają słuchać i iść. Zmiłuj się nad nimi, jeżeli nie nad sobą, boć i mnie przykro zacząć musztrę tegoroczną zgładzeniem piętnastu takich smarkaczy. No, widzisz, mówię do ciebie, jak ojciec! Inny byłby cię już zastrzelił. No co?...“

A wojsko ogromne stało i patrzyło na nas z najeżonemi bagnietami. Garstka naszych na uboczku tuliła się do kupy strwożona. I ogarnęło mnie zwątpienie i lęk, i padłem na twarz, i leżałem długo z rozkrzyżowanemi rękami. Podniosłem na chwilkę oczy ku pędzącym po niebie obłokom i wołałem do Tego, który mnie stworzył:

„Ratuj, Ojczy! Ratuj!“

I pytałem Go, co mam czynić, ja biedne, niemądre dziecko, na sumieniu którego tyle istnień ludzkich spoczywa. I zdało mi się, iż widzę przed sobą niebo otwarte i chóry anielskie, otacza-

jące tron Najwyższego. I znów padłem płacząc na twarz, czując się robakiem ziemskim bez mocy, ani światła. I modliłem się do Tego, który jest Mocą i Światłem, aby mnie oświecił i wzmocnił.

A wojsko milczało, i pułkownik milczał i czekał.

I nagle coś we mnie wstąpiło, przemówiło, wzrosło... Zerwałem się na nogi drżący i skostniały, a to, co we mnie było, było niezłomne. Spojrzałem spokojnie prosto w oczy starszyźnie i rzekłem:

„Wiążcie mnie, zabijcie mnie. Ale jam katolik. Cara na niebiesiech słuchać będę najpierw, bo mnie stworzył, a potem cara na ziemi, któremu przysięgałem, i was, którzy go tu przedstawiacie...”

A chłopcy nasi przyskoczyli do mnie, wołając: „Bracie! Tyś jak Szczepan ukamieniowany... I z tobą my widzimy niebiosą otwarte i chóry anielskie dokoła tronu Najwyższego... My z tobą, my z tobą na śmierć!... Nie pójdziemy, nie pójdziemy do cerkwi!”

I nastało milczenie wielkie.

A pułkownik opuścił głowę, pokręcał węża i dumał. Wyprostował się, a łza błyszczała w oczach jego. Zwrócił się ostro do oficerów i ochryplym, szorstkim głosem zawołał: „Tu zaszła pomyłka. Oni katolicy. Zapisać ich do katolików. Marsz do kościoła! Kozły z was, nie ludzie. A służcie tam tylko Najjaśniejszemu Panu tak, jak służycie Bogu waszemu.”

I szmer stłumiony przeleciał szeregi i poprowadzono nas do rzędu tych, którzy iść mieli do kościoła katolickiego i odebrano nam papiery, aby nas przepisać na katolików. I chodziliśmy do kościoła, i przystępowali swobodnie do Sakramentów św., a ludzie z szacunkiem odnosili się do nas. Skończyła się nasza wojskowość i wróciliśmy tutaj. Ale widząc, jak się tu (na Podlasiu) dzieje, a jak tam, już mi tęskno tam wracać, i wróćę. Bo tam i pracę znajdę i wolność wyznania mojej wiary, i garstkę naszych wygnańców, którzy ojczyznę mi tam przedstawiają i to, co najlepszego w Ojczyźnie.

Podlaskie Hospody pomyłuj.

Ottónówna.

Źródółko zła.

Istnieją na świecie nietylko wielkie źródła, sączące zło do dusz tysięcy i tysięcy ludzi. W szerokim cieniu życia biją także źródółka zła.

Jest ich wiele, chociaż nie są wielkie. A ponieważ bywają często niezauważone, zwykle lekceważone, tem łatwiej przeto szerzą spustoszenie, tem głębiej zarażają serca nieostrożnych.

Oto jedno z nich — maleńkie źródelko zła...

Rzecz dzieje się w rodzinie polskiej, jednej z tysięcy, w tym dniu szczęśliwym, kiedy rozpromieniona dumą i radością matka, prowadząc na ręczniku swą pierworodną latorośl, spostrzega, że maleństwo poczyną stąpać i próbuje chodzić samo.

Zaciekawiony radosnemi okrzykami, nadbiega ojciec, gromadzi się dokoła nich trojga, wkrótce cały dom. Każdy chce ujrzeć to wyjątkowe zdarzenie w dziejach świata.

— Naprawdę!... Patrzcie!... Maleństwo już samo chodzi!

A mały człowieczek, zachęcany przez tyle par śmiejących się do niego oczu, pobudzany zwłaszcza przez naturalną, rozrastającą się w nim moc maleńkich mięśni, kroczy coraz pewniej, coraz śmieiej, coraz radośniej. Nawet odtrąca rękę matczyną, co mu chce pomagać chwilami... On chce sam!... I sam idzie na drżących nóżkach, próbuje biegać, aż, nieobliczywszy swoich słabych sił i zajęty nóżkami, zapomni o oczkach, nie zauważy pobliskiego stołu i bęc! — uderzy główką o jego ostry kant...

Rozlega się krzyk i płacz nieutulony. Matka przerażona biegnie z pomocą, śpieszy niemniej przerażony ojciec... Ach, że też takie nieszcześnie spotkało ich jedynaka! Koniecznie trzeba ukarać winowajcę, który maleństwu nabił guza! To ten stół nieznośny! Czekaj, ty obrzydliwy stole, dostaniesz zaraz! A masz, a masz, a masz!

I zaczyna się wymiar sprawiedliwości. Stół otrzymuje pokaźną porcję razów od każdego z obecnych, od tatusia, od mamusi i od samego maleństwa, które nawpół z płaczem — gdyż główka stłuczona boli — bije rączką zapamiętałe w nic niewinne drewno...

Zaiste! Z takiego załatwienia sprawy stół by się uśmieł, gdyby miał rozum i czucie. Śmieją się też w duchu starsi, uczestnicy tej egzekucji, choć wewnętrznie usiłują ze względu na dziecko pokazać jaknajsurowszą minę, żeby stół widział, jak strasznie zawinił i jak straszną karę ponosi...

W rzeczywistości zaś ta scena, wyrwana z kontekstu codziennego życia, dla sumiennego obserwatora nie będzie nigdy źródłem śmiechu. Z punktu bowiem widzenia psychologii jest to właśnie — Źródelko zła...

W jaki sposób? Dlaczego?

W sposób bardzo prosty i dlatego, że w całej tej zabawnej egzekucji popełniono niesprawiedliwość. Został ukarany niewinny stół i w dodatku karę wymierzali ci, co sami powinni być ukarani. A więc ojciec, matka i sam główny winowajca, który sobie nabił guza. To jedno, a powtóre, przerzucając odpowiedzialność z dziecka na stół, rodzice, sami nie wiedząc o tem, posiali w jego wrażliwej duszyczce zgubną zasadę: to nie ty jesteś winien, to winien kto inny. Niech się ta scena, lub podobna do niej, powtórzy raz, drugi, trzeci, dziecko ją sobie

zapamięta i zawsze będzie zwałć winę na kogoś innego. Teraz winien stół, potem będzie winien brat, siostra, kolega, nawet ojciec i matka, babka, dziadek, wszyscy sąsiedzi, lecz nigdy on. Przypomną się powtórzone po raz nie wiedzieć który rajskie dzieje. Ewa nic nie winna, nie winien Adam, winien wąż. A tymczasem najprostsze załatwienie sprawy wymagało, by utulić płaczącego bohatera, załagodzić ból w miejscu zranionem i powiedzieć mu krótko: — Widzisz, nie chciałeś, żeby ci mamusia dopomagała, nie zauważyłeś stołu i stłukłeś główkę. Na drugi raz, gdy będziesz ładnie biegał, to uważaj, żebyś się nie skaleczył...

Odzwyczajenie dziecka od odpowiedzialności — zdawałoby się — drobnostka. Nie warto się nad nią zastanawiać, a tembardziej rozwodzić. Tymczasem jest to zrzucanie odpowiedzialności z człowieka. Z małego człowieka, prawda, ale z człowieka. W małym jego przewinieniu, także prawda, ale w przewinieniu. W miarę bowiem lat rośnie i on i rosną jego przewinienia. Pójdzie do szkoły, nie będzie umiał lekcji — będzie winien nie on, chociaż się nie uczył, lecz będzie winien nauczyciel. Tak, bo nie rozumie duszy dziecka, nie wnika w jego psychologię, nie pojmuje tego, że chłopiec potrzebuje się pobawić...

I krok za krokiem podążać będzie na wielką czy ciasną arenę życia młodzieniec czy dziewczyna, mężczyzna czy kobieta o charakterze, który się odzwyczaił od odpowiedzialności za swoje czyny. Staje się dopiero wtedy odpowiedzialny, kiedy już musi. Dopóki może, postara się ją przerzucić na innych, chociaż sam będzie winien.

I w rezultacie społeczeństwo i naród cały pocnie się składać z ludzi coraz mniej winnych, coraz mniej odpowiedzialnych. Kserkses smagał łańcuchami Hellespont, dziecko XX-go wieku bije stół, inżynier współczesny będzie smagał łuki i filary mostu, który mu się nie udał, architekt będzie kopał nogą ze złości odłamy domu, który przed ukończeniem się zawalił, przedsiębiorca będzie winę składał na dostawcę, dostawca materiału na górnik, a górnik chyba na samego Pana Boga, że taki nieodpowiedzialny materiał włożył w łono ziemi.

I tak wytworzy się najgłupszy system życia ludzkiego, w którym nikt odpowiedzialnym nie będzie, bo nie zechce wejrzeć w siebie, nie zada sobie trudu, żeby swoje czyny skontrolować, czy przypadkiem nie on właśnie winien...

I wytworzy się najgłupszy gatunek ludzi. Będą szukać winy w drewnie, wodzie i żelazie i będą reformować drewno, żelazo i wodę, a zaniechają reformę własnej duszy.

Nieodpowiedzialni... Niewinni!...

A od potwornych ich grzechów i bezprawii będzie się uginać i krwawić okrąg ziemi.

Tak zawsze z małych źródeł wypływają wielkie wody...

A jak się zdobyć na gruntowną zmianę takiego życia, jak je poprawić, tego nauczą nas Rekolekcje Zamknięte.

Jan Czar.

A. Piotrowski.

W zimowy wieczór.

Nadchodzi wieczór... Wlokły się ociężałe chmury, kłębiły się w największej ciasnocie, zasłaniając niebo ciemnym całunem. Ostry, zimny wiatr tańczył dziko pośród tumanów śniegu, podrygiwał na białych polach i wyl, napełniając świat przeraźliwym świstem, jękiem i zawodzeniem...

Las szumiał — drzewa skłaniały wierzchołki, strzepując śnieg suchy; umilkły głuchoe odgłosy życia, przewijał się jeno poświst wiatru...

Po drodze, brnąc w śniegu, szedł starzec pochyły i mała dziewczynka, otulona w lachmany. W okrągłej, zarumienionej od mrozu twarzy tkwiły czarne, bystre oczęta, ze skrzepłemi łzami na rzesach, i patrzyły na biel rozłożoną po polach, drogach, zatrzymywały się zdziwione na samotnych wierzbach...

Zimno było. Pod stopami śnieg skrzypiał, iskrzył się na mrozie tysiącem blasków...

Nigdzie, jak szeroko, ani chatki, ani śladu ludzkiej sadyby, w której możnaby ogrzać zziębnięte członki, złożyć głowę w ciepłym kącie... Natomiast zdaleka szło głucho, groźne wycie wilków, które dreszczem wstrząsało dwoje błędzących istot.

— Dziadku... a jak wilcy... — niedokończyła, gdyż sama myśl o mogącym nastąpić niebezpieczeństwie ze strony zgłodniałych zwierząt napawała ją przerażeniem...

— Nic nie będzie... da Bóg!... dojdziemy do ludzi, dadzą nam ciepłej strawy a i kąta nie odmówią... — pocieszał ją starzec, sam bez nadziei.

Znał ludzi zbyt dobrze; poznał ich w swej przymusowej tułaczce za kromką chleba. Jedni dawali, drudzy wyganiali, zlorzczać i częstując wywiskami.

— Dziadku!...

— Co, dziecinko?... Zimno ci?... Otul się chustką...

— Nie, nie zimno... nie... ino... — głos jej zadrzał, załamał się, łzy opadły na policzki...

Starzec westchnął ciężko. Kulejąc, przyśpieszył kroku, aby tych łez, które mu serce rozdzierały, nie widzieć... Skarga rzadko kiedy z tych ust drżących wypłynęła, ale te łzy, te łzy — mówiły za wszystko...

Ręką potarł po zmarszczonem czole, bezradny...

— Już niedaleko, a pewno światło w chałupie jakiejś zobaczymy...

Sił nie miał, ażeby to dziecko swej córki niedawno zmarłej, sierotę, wziąć na ramię — czuł się słabym, słabszym jeszcze niż ta dziewczynka, dla której żył na świecie i którą kochał nad życie.

— Dziadku...

— Co dziecko?...

— Masz... masz... jeszcze może kawałek chleba?...

Opuścił ręce. Skrzywił się jeszcze bardziej, pochylił ku samej ziemi. A skarga, prośba i pytanie to — wdzierają się w głąb duszy, szarpała nielitościwie za serce i tak już zboleła...

— Jestem głodna, dziadku...

Wysilił się na uśmiech błądy. popatrzał w czarne niebo, na którym lśniły gwiazdki...

— Nie mam nic...

Wiatr tańczył po drodze, sypał śniegiem w oczy, dech w piersiach zapierał.

Nagle, na dalekim horyzoncie błysło złotawe światelko. Starcowi zdawało się, że płynie ku nim okręt zbawczy na rozszalałym oceanie, płynie im na pomoc — im, rozbitkom losu...

— Patrz, Marysiu!... patrz! tam!... widzisz?...

— Nic...

— Światło! — zawołał radośnie — tam ludzie. O Boże, dzięki Tobie, dzięki!...

I oczy przymknął, jakby oszołomiony tym widokiem zbawczym, wyciągnął ręce, jakby sięgnąć pragnął światelko, przygarnąć je do skołatanej piersi...

Szli pełni nadziei, wśród ciemnej nocy, ujadania wiatru i wycia wilków.

Światło zbliżało się ku nim coraz bardziej.

Wreszcie... przed oczami zamajaczyły kontury chaty, o dachu, schylonym ku samej ziemi...

Stanęli. Starzec zapukał.

Po chwili otworzyły się drzwi, ukazała się twarz ponura i oczy krwią nabiegłe.

— Czego?...

Staruszek drżał, dziewczynka lkała zcicha...

— Łyżkę ciepłej strawy... kąpiel ciepłą... może się znajdzie — wyszeptaly usta bólem ściągnięte.

— Niema!... precz!...

Zatrzasły się drzwi z łoskotem.

Druga chata opodał. Podeszli, zapukali.

Wychyliła się głowa o rozczochranych włosach.

— Czego?... Idźcie do djabła! — wrzasnęła głowa.

Pies warknął groźnie na łańcuchu, śmiech rozległ się we wnętrzu izby.

— Dziadku... a może tam? — szepnęło dziewczę.

— Oni wszyscy tacy... źli... groźni!... Ludzie dziś bez sumień, bez serc, bez odrobiny litości i miłosierdzia!...

Huczał wiatr, z wściekłym chichotem naginał do pokłonu przydrożne drzewa, podrywał nędzne łachmany włóczęgów, żebraków, bez dachu, bez chleba, drżących z zimna...

Marysi się zdawało, że gdzieś w dali jaśniej postać matuli, która na nią woła i słodko się uśmiecha.

— Mamo... mamó — wyciągnęła ręce — ludzie są źli... a dziadzio kochany płacze...

I dziadek płakał... Łzy lały się po zmarszczonej twarzy, spływały na szyję, wsiąkały w nędzne łachmany, przez które mróz i wiatr docinał ciało...

Utonęli wnet w ciemnym całuniecie nocy; przez chwilę słyhać było ich kroki na śniegu — a potem cisza, cisza martwa, cisza zapomnienia...

Idą do was, do waszych serc, z prośbą na zsiniałych wargach, z skrzepłemi łzami — proszą o kawałek chleba i ciepły kącik, ażeby ogrzać zziębnięte członki... Nie odmawiajcie ich prośbie!

Nie zapominajcie o przykazaniu — głodnych nakarmić!...

JAN PASZENDA.

Chore serce.

I.

Przed drzwiami państwa Sobolskich stanęła skromnie lecz schludnie ubrana dziewczyna. Mogła mieć około 17 lat.

Stała chwilę, tłumiąc w sobie wielką nieśmiałość i jakiś dziwny wstyd.

Wreszcie... zapukała.

Otworzyły się drzwi. W drzwiach ukazała się starsza kobieta.

— Niech będzie pochwalony... — rzekła nieśmiało dziewczyna.

— Na wieki... Czegóż to chcecie? — spytała starsza pani.

— A bo... mama mnie tu przysłała... Przyszłam się zapytać, czy potrzebujecie służącej. Mama powiedziała, że mogłabym służyć u państwa...

— Nie! Nie potrzebujemy służącej!

— Nie?? No to zostańcie z Bogiem! A nie gniewajcie się...

Odwróciła się ku schodom. Nogi jej drżały. Szła trzymając się poręczy, żeby nie upaść. Przyszła z nadzieją w sercu, a teraz odchodzi... bez niej. Jak patyk suchy na drodze łamie się pod kołami wozu, tak złamała się nadzieja jej pod ciężarem słów: „Nie! Nie potrzebujemy służącej!”

Chciała tylko pracy, tylko ten kawałek chleba suchego, bo głód ją tu przypędził...

Nie przyjęli... Nie dali nic, ani tego dobrego słóweczka na drogę. Nie dali...

II.

Pan Sobolski wrócił wieczorem ze służby. Był zmęczony. Przyniósł smutne wiadomości.

— Wiesz, Zosiu, — rzekł do żony — dziś znowu kilku kolegów zostało zwolnionych ze służby. Mnie ten los jeszcze ominął tym razem.

— Bogu dzięki! — rzekła żona, tuląc się do męża. — Jaka to straszna myśl: żyć bez pracy...

— Może i nas zaskoczyć kiedyś. Trzeba oszczędzać i odkładać na czarną godzinę.

Z bojaźnią spojrzała w oczy mężowi.

— Był tu dzisiaj kto? — spytał mąż nagle.

— Nie... Była tylko jakaś dziewczyna. Zapytywała o służbę.

— I cóżeście odpowiedziały?

— Matka powiedziała, że nie potrzebujemy służącej. Więc poszła...

— Cóż to była za dziewczyna?

— Zdaje mi się, że Piechaczkówna... Tych od stawu.

— Znam tę rodzinę. Ojciec jest zredukowanym urzędnikiem. Dzieci tam coś jedenaścioro. Żadne z nich nie zarabia. Bieda tam być musi.

— No, to weźmy tę dziewczynę! Przyda nam się. Roboty koło dzieci jest dość. Trzecie zjawi się niedługo. Pomożemy sobie i jej. Wiesz, że i ja już tyle robić nie mogę. Ból w nodze powiększa się. Lekarz powiedział, że to z przemęczenia.

— Dobrze. Weźmiemy dziewczynę. Zawołaj matkę!

— Uradziliśmy wziąć dziewczynę — rzekł Sobolski. — Matka ma już 60 lat i potrzebuje więcej odpoczynku. Zosia też już tak wysilać się nie może, a roboty jest coraz więcej. Dziewczyna ulży nietylko nam, ale i sobie i swoim rodzicom.

— Co? służącą chcecie wziąć? A cóż ona tu będzie robiła? Gdy byłam młoda, to sama opatrywałam i dzieci i dobytek i gospodarstwo. Jeno zawadzać będziemy jedna drugiej i nic więcej. A ludzie co powiedzą? Wyśmiewać was będą, że się w wielkie państwo bawić chcecie. To wstyd brać służącą.

Nie spodziewał się Sobolski takiego oporu ze strony matki. Próbował jeszcze nakłonić ją do ustępstwa.

— Matka źle sądzi. Powinniśmy się cieszyć z tego, że mam jeszcze służbę i pensję taką, z której coś niecoś i odłożyć możemy. A z tego, co nam zbywa, mamy obowiązek pomagać drugim. Najlepiej pomaga bezrobotnym ten, kto im pracę daje. Sam Ojciec św. to pochwała. Niech matka wyobrazi sobie nasze położenie, gdybym się nagle znalazł bez pracy. Jak wdzięczni bylibyśmy temu, któryby mi nanowo służbę ofiarował. Dając służbę, dajemy jałmużnę, do której jesteście zobowiązani.

— Zróbcie jak chcecie... — odburknęła niechętnie matka. — Z mojej kieszeni płacić nie będziecie.

— Tu o pieniądze nie chodzi. Tu chodzi o to, żeby dziewczynę przyjąć życzliwie i otoczyć ciepłem miłości.

— Patrzcie go! Jajko chce być mędrsze od kury! Kazania mi tu będzie prawić. Sama wiem, co mam czynić. Chcecie wziąć służącą, to weźcie, kiedy się twojej młodej żoneczce robić nie chce.

Spojrzała z triumfem w stronę synowej i odeszła.

Sobolski zacisnął zęby. Spojrzał na żonę. Ocierała łzy. Przytulił ją z miłością ku sobie.

— Franku! — rzekła do męża — nie bierzmy służącej. Będzie z tego jeszcze dużo złej krwi.

— Zdaje ci się! — uspakajał ją mąż. — Matka pogodzi się z faktem i jeszcze nam za to wdzięczna będzie. Każę jutro przyjść dziewczynie.

III.

Tego samego jeszcze dnia poszedł Sobolski do Piechaczków i zgodził dziewczynę na służbę. A wiedząc, że rodzina jest w potrzebie, zostawił zaraz zaliczkę.

Oboje Piechaczkowie ze łzami w oczach dziękowali Sobolskiemu za dobre serce i pamięć o nich, a Bronka podeszła i ucałowała Sobolskiego w rękę.

— Niech Pan Bóg Panu błogosławi! — wołali za nim na pożegnanie. A gdy odszedł, cała rodzina uknęła do wspólnej dziękczynnej modlitwy. Gdyby nie pan Sobolski, nie mieliby jutro kawałka chleba.

A Sobolski wracał do domu przyjemnie wzruszony. Szło za nim błogosławieństwo dobrego uczynku.

IV.

Od dnia, w którym Bronka Piechaczkówna zaczęła służbę u państwa Sobolskich, upłynęło kilka tygodni.

Pewnego dnia, stawiając rower do piwnicy, zauważył Sobolski, że Bronka wyszła z piwnicy mocno zapłakana. Fartuchem ocierała pośpiesznie łzy, płynące ciurkiem.

— Czemu płaczesz? — zapytał.

Zbyła go milczeniem.

— Bronka! — zawołał tonem stanowczym.

Przystanąła, ocierając łzy.

— Ci ci jest? — zapytał znowu.

— Nic... — rzekła wymijająco.

— Jesteś chora? Boli cię co?

— Nie...

— Ukrzywdził cię kto?

— Nie...

— To czemu płaczesz?

Odpowiedziała milczeniem. A ponieważ Sobolski dalej nie pytał, odeszła.

Sobolski stał chwilę i zastanawiał się nad przyczyną jej łez. Uderzyło go bardzo niemiłe przecucie. Nie mówił nic. Zaczął jednak wszystkie trzy kobiety obserwować. Przypuszczał, że ktoś musiał Bronkę

ukrzywdzić. U żony jednak niczego podejrzanego nie zauważył. Matka tylko zwróciła na siebie uwagę swoją zadąsaną miną.

Gdy wieczorem wyszedł z żoną na przechadzkę w pole, pytał:

— Czy ty jesteś zadowolona z Bronki?

— Z Bronki? Bardzo. Niczego jej zarzucić nie mogę.

— A czy ty wiesz, że Bronka dziś w południe płakała?

— Wiem...

— Jaka była tego przyczyna?

Milczenie było odpowiedzią.

Takie zachowanie się żony bardzo uderzyło Sobolskiego. Przecież nigdy nie miała przed nim tajemnic.

— Czy się te kobiety sprzysięgły przeciwko mnie, żeby mnie dręczyć milczeniem, czy co? — myślał. — Muszę tę sprawę zbadać dokładnie.

— A wiesz jaka były przyczyna jej łez? — badał żonę dalej.

— Domyślam się. To nie pierwszy raz...

— Więc powiedz!

— Nie powiem, bo i nie uwierzysz. Zresztą nic na to nie poradzisz.

— Ale mi powiesz, bo ja cię bardzo o to proszę! — rzekł stanowczo, przystanąwszy.

Spojrzała na męża badawczo. Widziała, że mąż nie ustąpi.

— Powiem, ale nie myśl, że chcę kogoś oskarżać. Przyczyną jej łez była twoja matka. Ona nienawidzi Bronki. Za co, nie wiem. Chodzi ciągle za nią, chwili jej odpocząć nie daje, śledzi ile zje, przy robocie patrzy na palce i ciągle coś brzęczy i wyzywa. Bronka nie może jej wygodzić. Co robi, wszystko jest w oczach matki złe. Jeszcze ani jednej pochwały nie powiedziały dla Bronki.

— A Bronka co na to?

— Nic. Milczy. Stara się stosować do wymagań matki, ale to bardzo trudno. Od czasu do czasu znika, gdy łez zatrzymać nie może, a wyplakawszy się nieco, wraca.

— A jaki jest stosunek matki do ciebie? — spytał niespodzianie.

Odwróciła się prędko i zakryła twarz chustką. Załkała cicho.

Domyślił się, że między matką a żoną nie wszystko jest w porządku.

— Nie płacz! Matka nie czyni tego w złej myśli. Taka już jej natura.

— Ale i trudno wytrzymać z nią...

Sobolski zamyślił się. Czuł, że znajduje się niby między kowadłem a młotem. Właściwie między kowadłem a trzema młotami. Jakaś niechęć dzieliła te kobiety. Sobolski nie mógł narazie doszukać się źródła tej niechęci. Domyślał się, że główną winę ponosi matka. Ona stworzyła w domu taką nieznośną atmosferę. Nie wiedział tylko, w jakim celu, względnie z jakiego powodu.

— Trzeba prosić Boga o moc wytrwania i o to, żeby zmienił usposobienie matki.

— Modłę się już o to oddawna... — odrzekła uspokojona nieco.

V.

Kilka dni później Sobolski odprowadził żonę na dworzec. Wystąpił na kilka dni do jej rodziców. Z dworca wracał z Bronką, która pomogła odnieść walizki na dworzec.

— Bronka! Podobno ci się u nas nie podoba służba? — zagadnął zniechęcony.

— Kto to powiedział? To nie prawda. Podoba mi się.

Szli chwilę w milczeniu.

— Nie chciałbym, żeby ci się u mnie krzywda działa. Nie chciałbym, żebyś płakać musiała. Wiem, że cię spotykają przykrości ze strony matki. Taka to już jej natura. Nie przejmuj się tem zbyt. Matka tak źle nie myśli, jak czyni.

— Wiem. Ja też do niej nie mam żalu. A gdy sobie popłaczę trochę, to mi łżej na sercu.

— Staraj się postępować tak, żebyś niczem nie rozdrażniała matki. Idź jej na rękę.

— Dobrze, proszę pana.

A chcąc złagodzić nieco jej smutny los, wcisnął jej do ręki grubszą monetę.

VI.

Wieczorem, gdy Sobolski siedział przy biurku, weszła do jego pokoju matka.

— A kiedy to zwolnisz tę dziewczynę?! — zapytała szorstko.

— Zwolnić? Dlaczego miałbym ją zwolnić? — spytał łagodnie.

— A pocóż to będziesz takiego darmozjada żywił i płacił? Kiedy żona z dziećmi pojechała to i roboty niema i dziewczyny nie trzeba. Wcale jej nie było potrzeba. Cóż taka dziewczyna? Dobrze jeść, mało robić i nic więcej. I jeszcze jej płacę do tego. I żeby to choć co zrobić umiała! Wszystko robi naopak. Szkoda pieniędzy na taką dziewczynę.

— Przecież Zosia jest z niej zadowolona — wtrącił.

— Zosia? Ona też taka! Czy to ona umie co zrobić? Chyba niepotrzebne wydatki...

— Ależ matko!... Przecież zapisuje i pokazuje, na co wydała pieniądze. Nie widziałem tam żadnych niepotrzebnych wydatków.

— Ale dziewczynę musisz zwolnić. Nie chcę jej tu widzieć.

— Dlaczego?

— Nie chcę i koniec. Powiedziałam już: szkoda pieniędzy.

— Matko! przecież tych kilka złotych nas nie zuboży. A dla niej i dla jej rodziców jest to poważna pomoc. Trzeba mieć trochę serca dla niej. Nie wolno nią poniewierać. Matka powinna i Bronkę i Zosię otoczyć większą miłością. Zosia tego szczególnie potrzebuje.

— Aha! Już wiem! Naskarżyła znowu na mnie! Już znowu kopie pode mną. Chciałaby mnie się pozbyć!

— Ale poco matka wmawia sobie rzeczy, których nie było i niema! Widzę, że współżycie między wami jest bardzo trudne. Czy nie byłoby lepiej, żeby matka zamieszkała osobno?

— Tak?! Teraz już wiem! Do tego dążycie? Pozbyć się mnie chcecie! Zawadzam wam już! Brzydycie się starą! Dawnom to już przeżuwała.

I zaczęła szlochać głośno.

— Matko! Jak można! Nie chodzi o to, żeby matkę usunąć, chodzi tylko o to, żeby w domu zapanowała miłość i zgoda. Jeśli wspólnie w zgodzie i miłości żyć nie umiecie czy nie chcecie, trzeba was rozłączyć. Czy mam wziąć rozwód z żoną?

— Co to — to nie! Ale dziewczynę musisz zwolnić!

Sobolskiemu zaczynała wyczerpywać się cierpliwość. Hamował się, żeby nie buchnąć gniewem. Pamiętał, że przed nim stoi matka.

— Zwolnię Bronkę — rzekł po chwili. — Ale tylko dlatego, żeby matkę zadowolić. Wiem, że postąpię źle. Bronka na zwolnienie nie zaślubiła. Stanie jej się krzywda. Oby nas wszystkich Bóg sprawiedliwy nie pokarał za to.

— Co za krzywda wielka! Hm! hm!

Odeszła do kuchni powiedzieć Bronce, że zostanie zwolniona.

Bronka przyjęła wiadomość spokojnie. Z końcem miesiąca odeszła. Po miesiącu otrzymała służbę gdzieindziej. Lepiej jej tam było.

VII.

Sobolska już była wróciła od rodziców. Roboty było coraz więcej. Starsza Sobolska zaczęła postękiwać. Skarżyła się na słabość ogólną. Pracować już nie mogła. Cała praca spoczywała na barkach młodej gospodyni. Męczyła się bardzo, gdyż za dwa tygodnie spodziewała się trzeciego dziecięcia. Krzątała się jednak jak mogła, nie narzekając.

Po przyjściu dziecka na świat zmuszona była wnet brać się do pracy z powodu braku służącej i jakiegokolwiek pomocy. I zaniemogła nagle. Wezwano lekarza. Choroba przewlekła się. Lekarstwa i honorarja lekarskie pochłonęły wnet uciulane na czarną godzinę grosze.

A na dopełnienie nieszczęścia Sobolski został zwolniony ze służby. Przeszedł do domu ogromnie przygnębiony. Wyjawszy z kieszeni ów złowieszczy świstek, podał go matce.

— Co? Zwolnienie?

Nie mogła jej się ta wiadomość pomieścić w głowie.

— Dotknęła nas Ręka Boża. Będziemy musieli odcierpieć to, czemeśmy zawinili wobec Bronki i jej rodziców.

VIII.

Stara Sobolska wzięła sobie zwolnienie syna z służby tak do serca, że zachorowała poważnie. Synowa — aczkolwiek bardzo jeszcze słaba — chodziła koło niej i koło dzieci z wielkiem poświęceniem.

Przyjęli cios jako doświadczenie Boże. Nie narzekali. Narazie żyli ze wsparcia. Ale zasilki wnet się miały skończyć. Co potem poczną — nie wiedziała. Już teraz ciężko było żyć. Nie chciała przenosić się myślami w przyszłość jeszcze czarniejszą. Pocieszała się trochę tem, że

może mąż gdzieś jakieś zajęcie dostanie. Może... ale czy napewno?? I kiedy??

Pewnego dnia ktoś cicho zapukał do drzwi.

— Proszę! — odpowiedziała Sobolska.

Weszła do kuchni jakaś znajoma dziewczyna.

— Bronka! — zawołała Sobolska z zdziwieniem i zakłopotaniem w głosie.

— Mam urlop. Moi państwo wyjechali na miesiąc za granicę. Dali mi należność za cały miesiąc, trochę dodatkowo na żywność i pozwolili wyjechać do domu. Słyszałam, że tu u państwa teraz więcej roboty, bo i dzieci przybyło i matka chora i pani też niezbyt zdrowa, więc przyszłam pomóc. Tak sobie... bezpłatnie.

— Bronko! przecież na to nie możemy się zgodzić.

— Jak państwo będziecie mieli, to mi cośnecóż dacie, ale niekoniecznie. Byliście dla nas dobrzy, kiedy u nas było bardzo źle. Niech mi teraz wolno będzie choć w części odwdzięczyć się za to. Będę pani pomagała, a jeść pójdę do domu. U nas teraz już lepiej. Dwaj bracia pracują.

— Ależ Bronko, przecież mąż by się nie zgodził. Zresztą, czy ty nie masz do nas żalu za to, żeśmy ciebie zwolnili?

— Eee! proszę pani! Niema złego, coby na dobre nie wyszło. Dostała mi się przecież niezła służba.

Uparła się i została.

Stara Sobolska była zjawieniem się Bronki bardzo zaskoczona. A kiedy się dowiedziała, na jakich warunkach swą pomoc zaofiarowała, zdziwiła się ogromnie. Nie mówiła nic.

Bronka zajęła się domem i dziećmi bardzo serdecznie. Najwięcej jednak uwagi i opieki poświęciła starszej Sobolskiej. Troskliwa opieka i serdeczne obojęcie przełamały resztki niechęci, jakie jeszcze dzieliły obie te kobiety. W duszy starszej Sobolskiej nastąpiła ważna przemiana.

Pewnego dnia przywołała do swego łóżka synową i Bronkę. Kazała im usiąść. A gdy usiadły, rzekła:

— Nienawidziłam was... I tak jak nienawidziłam was, byłabym nienawidziła wszystkie inne kobiety na waszem miejscu. Bóg ukarał mnie za to, a przeze mnie i was. Przyszło opamiętanie.

— Mam 61 rok. Przez 40 lat dzierżyłam niepodzielnie władzę w gospodarstwie domowym. Przywykłam do rozkazywania, jak do codziennego chleba. Ukochałam rozkosz tego panowania tak jak ukochałam mego jedyne go syna.

— A gdy syn dorósł, ożenił się...

— Wtenczas to wślizgnęła się do serca mego żmija zazdrości. Zrozumiałam, że będę musiała oddać niepodzielnie dotychczas trzymaną władzę, że będę musiała się zadowolić tylko częścią synowskiej miłości i patrzeć, jak z skarbcza miłości mego syna czerpać będzie całemi garściami obca kobieta.

— I z zazdrości tej urodziła się nienawiść. Zaczęłam ją nienawidzić. Zaczęłam ją śledzić, doszukiwać się u niej błędów, a potem oskarżać

przed synem, żeby wykopać przepaść pomiędzy nimi i zamknąć dla niej skarbiec miłości.

— Choć nazywało się, że „panią domu“ jest synowa, jednak ja panowałam nadal. Nic nie mogło stać się przeciwko mej woli. Cierpiałam ją w domu jako konieczne zło.

— A gdy przyjść miała służąca, odrazu oceniałam to jako wzmocnienie pozycji synowej. Sprzeciwiłam się jej przyjęciu. Po części czyniałam to i ze skąpstwa. Nie chciałam, żeby z majątku syna korzystały obce osoby. Syn postanowił wbrew mojej woli sprowadzić służącą. Zranił tem moją ambicję. A ponieważ domyślałam się, że służącej życzy sobie synowa, znenawidziłam ją jeszcze bardziej.

— Służącej uprzykrzałam życie czem się dało. Z czasem czyniałam to już bezwiednie. Nienawiść była moim powszednim chlebem. Dziwię się, jak mogłam wtedy pogodzić z tą nienawiścią tak częste przystępowanie do Komunji św. To były chyba świętokradztwa. Wreszcie dopięłam swego: syn zwolnił dziewczynę. Czułam, że jestem znowu górą. Uczucie wyniosłej dumy, ba! grzesznej pychy rozgrzało krew moją...

— Za tę pychę, za tę nienawiść, za to skąpstwo, za brzydki upór trzymania się przy władzy, za krzywdy wam wyrządzone... pokarał mnie Bóg. Pokarał mnie bezrobociem syna. Ja zawiniłam, wy cierpieć musicie...

— A może to nie była kara, lecz łaska i miłosierdzie Boże? Przecież opamiętałam się. Widzę teraz, że źle czyniałam. Zamiast miłości — siałam nienawiść...

— Wybaczcie!...

— Wybacz ty, Zosiu!...

Zosia ze łzami w oczach przysunęła się do łóżka teściowej i, łkając, mówiła:

— Wybaczam... dawno już wybaczyłam...

Drżąca dłonią pogłaskała czule głowę synowej.

— Wybacz i ty, Bronko!

Bronka, której już oddawna kapąły łzy z oczu ze wzruszenia, przyskoczyła do chorej i zaczęła całować ją po rękach.

— Nie miałam wcale żalu... nie miałam...

I przez dłuższą chwilę wszystkie trzy zajęte były ocieraniem łez, które sypały się niby ten deszczyk z chmury brzemiennej.

Milczenie przerwała znowu chora.

— Zosiu! Wyrzuciłam już nienawiść i zazdrość z serca swego. Bierz dom i rodzinę w niepodzielne panowanie i miłość syna mego bez reszty. Nie będę ci już przeszkadzała w niczem. Tylko prosić będę Boga, żeby odwrócił od nas karzącą dłoń swoją i synowi dał znowu pracę.

W tej samej prawie chwili nadbiegł Sobolski. Był rozpromieniony.

— Mam zajęcie! — krzyknął od proga.

— Bogu dzięki! — wyszeptwała staruszka, omdlewając prawie z radości.

Małżonka opowiedziała krótko mężowi to, czego przed chwilą obie z Bronką były świadkami.

Sobolski uściskał najpierw żonę, a potem przypadł do łóżka matki i długim pocałunkiem wyraził jej za to swą wdzięczność.

— A Bronkę zatrzymajcie u siebie w służbie... — zaproponowała chora.

— No cóż, Bronko, zostałaabyś u nas?

— Chętnie, chociaż mi żal i tamtych państwa.

Załatwiwszy, co należało, u swoich państwa, Bronka wróciła do Sobolskich.

Wkrótce pod wpływem radosnego uczucia i staruszka wróciła do zdrowia. U Sobolskich zaczęło się zaprawdę słoneczne życie. Miłość zapanowała tam niepodzielnie w każdym zakątku serca ludzkiego.

Koniec.

Warunki przyjęcia do Apostolstwa Chorych.

Drodzy Chorzy! Pierwszy warunek przyjęcia do Apostolstwa Chorych jest napozór dosyć ciężki: trzeba przyjąć cierpienie, chorobę...

W świetle wiary warunek ten jednak nie jest taki bardzo przykry; mamy przyjąć cierpienie z ręki Boga. Znaczy to: widzieć w cierpieniu najmiłościwszą dobroć Bożą, która daje każdemu to, co mu potrzebne, cierpienie nawet dopuszcza, albo jako lekarstwo albo jako przestrożę, zabezpieczenie, jako sposobność do zasługi lub do postępu. Przyjęcie to będzie mniej przykre, owszem łatwe, jeśli rozważymy, że wola Boża jest wolą Boga-Miłości, z której wszystko poczęło się i do której wszystko zmierza. Ożywieni duchem nadprzyrodzonym i wiarą uczymy w danem cierpieniu najlaskawsze, nieskończenie ojcowskie zrządzenia Boskiej Opatrzności, dla której nic nie jest przypadkowe, niespodziane, szkodliwe lub oplakania godne, lecz wszystko jest dobre, dobroczynne, ale pod jednym warunkiem... miłości.

Chorzy, cierpiący, nie zastanawiają się często tak bardzo nad całym znaczeniem słowa „przyjąć“. Biorą samo tylko słowo i uważają, że jest nie do przyjęcia. Wielu wydaje się okrutnym żądaniem od chorego, by przyjął to właśnie, przez co cierpi, by z dobrą miną znosił to, co go trapi, i zgodził się nieść to dalej, czego zaraz chce się pozbyć. Czyż przyjąć cierpienie nie znaczy chcieć je na zawsze i w coraz większym stopniu? Ludzka natura już dość przygnieciona cierpieniem teraz upada zupełnie. Już nic nie widzi poza tym strachem, że jeśli przyjmie, będzie musiała cierpieć na zawsze, gdy tymczasem jedno ją jeszcze podtrzymuje: nadzieja mniej lub więcej wyraźna, może nawet iluzja, że kiedyś wyzdrowieje....

Wielu nie wpisuje się do Ap. Ch. z obawy, że to przyjęcie wyklucza pragnienie, dążenie do uleczenia. Widać, że poważnie biorą sprawę wstąpienia do Ap. Ch. i z tego im zarzutu

robić nie można. Trzeba jednak tę sprawę rozważyć, a wtedy pokaże się, że w tym strachu, w tej odmowie kryje się podwójny błąd. Przyjąć nie znaczy podejmować się cierpieć na zawsze. Przyjąć nie znaczy także, że się krótko i stanowczo wyklucza wszelkie pociechy w cierpieniu, dążenie do uleczenia choroby.

Mamy przyjąć obecne, istniejące cierpienie bez żadnego zobowiązania co do przyszłości. Są wprawdzie ludzie, którzy za natchnieniem Bożem i przy pomocy osobnych łask pragną, szukają cierpienia, ślubem związują się, niczego innego nie pragnąć, tylko coraz więcej cierpieć. Jest to bardzo szlachetne, bardzo chwalebne, może częstsze, niż przypuszczamy, ale tego nie można polecić wszystkim, tem mniej wszystkich zobowiązać.

Wymagania Apostolstwa są skromniejsze i prostsze. Przyjmujemy cierpienie takie, jakim ono jest w danej chwili. Apostolstwo nie szuka nowych cierpień. Cierpienie uważane za niepożyteczne, mogące przejść w cierpienie złe, przetwarza na rzecz dobrą, cenną, dającą pokój i szczęście. Odkrywa w niem tajemne źródła, niewyzyskane skarby dobrego cierpienia.

Jest to tylko proste przyjęcie cierpienia bieżącego, takiego, jak je dopuszcza i dozwala Bóg, nic ponadto, nic poniżej, na tak długo, jak dopuści Bóg, ni mniej, ni więcej. Jest to spokojne oddanie się woli Bożej, zawierające i wolę uleczenia, jeśli Bóg pozwoli, więc i zupełną swobodę dążenia do uleczenia. Słusznie powiedziała jedna chora do drugiej, którą chciała pozyskać do Apostolstwa: „Z tego nie będziesz bardziej chora, bo to nie powiększy choroby“.

Skutki, jakie sprawia to „przyjęcie“, udowadniają, że zgodzenie się z wolą Bożą nie jest takie trudne.

Przez co najbardziej cierpią chorzy, zwłaszcza ci, co długo chorują? Czy może wskutek cierpienia fizycznego, cielesnego? To jest tylko część ich krzyża i nie najcięższa. Najwięcej dokucza choremu uczucie niechęci, wstępu do cierpienia, ten krzyż moralny, duchowy, który podwaja ciężar poprzedniego, fizycznego krzyża. Chory staje się sam sobie jakby katem, wynajduje w swem cierpieniu wszystko, co jeszcze więcej boli, gniewa, niepokoi, obezładnia. Staje przerażony przed tą nagłą przeszkodą na drodze życia, zgłębia tę przepaść cierpienia i dna nie znajduje. Nie może znaleźć spokoju dla siebie, więc innym też go odbiera. wreszcie aż ku Bogu kieruje swoją niechęć i gniew. Czy taki chory zbuntowany, zniechęcony, zrozpaczony jest bardziej pocieszony, jest bardziej usposobiony do leczenia?

Jest inna droga, bardziej zbliżająca do pociechy, do leczenia. Chorzy godzą się z wolą Bożą, z tą wolą, która da

im łaski ukryte w spokojnem cierpieniu. Ci wstąpią śmiało i stanowczo na drogę bolesną, zobaczą, że nią można iść. Trzeba Bogu okazać na tyle zaufania, że cierpienia, które nam przeznaczył, są dobre dla nas, niejako na naszą miarę, na nasz wzrost, odpowiednio do naszych sił i potrzeb.

Do tego nie dochodzi się w jednej chwili. Pokój otrzymuje się tylko przez walkę, jako owoc zwycięstwa, przynajmniej ten pokój, który przychodzi od Pana, który nie jest z tego świata i który obiecany jest wszystkim duszom dobrej woli.

Wyobrażają sobie ludzie niekiedy, że już dużo i bardzo po chrześcijańsku zrobili, jeśli litowali się nad losem chorego, razem z nim płakali i szczegółowo rozbierali całe nieszczęście. Słusznie, trzeba „płakać z płaczącymi“ i jest wielu chorych, z którymi nic ponadto zrobić nie można. Trzeba jednak uważać, byśmy zamiast pomóc raczej im nie zaszkodzili, pozbawiając ich reszty spokoju i odwagi. Często podtrzymuje się tylko ich przygnębienie, pogłębia uczucie bólu, kołysze zwodniczymi, nieuzasadnionymi nadziejami, które mogą doprowadzić do gorszych rozczarowań.

Musimy dążyć do czegoś zupełnie przeciwnego. Łagodnie, taktownie, z umiarkowaniem trzeba doprowadzić do popatrzenia rzeczą prosto w twarz i do wytworzenia usposobienia „przyjęcia“. Takie popatrzenie na sprawę wprost sprowadzi ją do właściwych rozmiarów. Wyobraźnia ma tak wielki udział w naszych cierpieniach. Gdy rozproszymy zwodnicze nadzieje, powoli spokojnie wejdziemy na drogę bolesną i przekonamy się, że nią można iść, że krzyż, chociaż tak bardzo rzeczywisty, nie jest przez to bardziej krzyżujący, że go można nieść bez obawy gorszego rozchorowania się i śmierci.

Może to jaki cud? Nie, to jest zupełnie logicznie, rozumowo wytłumaczalne na podstawie naszego życia duchowego. Powiedzieliśmy na początku, że nasz krzyż fizyczny podwaja się, staje się cięższym przez krzyż moralny, duchowy wskutek naszego wstępu do cierpienia i daremnych wysiłków, by się go pozbyć. Z chwilą, gdy się uspokoimy, gdy ułożymy się w cierpieniu, uznamy je za nasz stan, znika ten drugi krzyż, któryśmy niepotrzebnie dodawali do pierwszego. Zostaje tylko ten, dany nam przez Boga, nam odpowiadający, jakby dla nas zrobiony. Przyjęcie zamiast obciążać, odciąża, lecz, pociesza. Leczy się nie tylko strona duchowa cierpienia, często bardzo wybitnie poprawia się, lecz się i strona fizyczna. Przychodzą nowe pomoce, wyzwala się te siły nasze i zdolności, które były zajęte zmaganiem się ze stroną moralną, duchową cierpienia i teraz z tem większą energią

skierowują się do podniesienia całego człowieka ku górze, ku cierpieniu radosnemu, ku uleczeniu.

Niech Chrystus, który przyniósł pokój ludziom dobrej woli, wzmocni waszą wolę do przyjęcia cierpienia z rąk Bożych. Z serdecznym pozdrowieniem

X Michał Rekas

Z kursów Misji Wewnętrznej diecezji Śląskiąj.

Rok 1933 był rokiem propagandy i zapoznania diecezjan, zwłaszcza członków stowarzyszeń kościelnych, należących do Misji Wewnętrznej, z celami i zasadami Misji Wewnętrznej diec. katowickiej. Środkiem do tego były liczne kursy M. W. w kilkunastu okręgach diecezji. Każdy kurs obejmował przeciętnie 10—15 parafij, najbliżej punktu centralnego położonych. W pierwszym półroczu odbyło się 12 kursów Misji Wewn., a mianowicie w Rybniku, Kochłowicach, Bieruniu, Rudzie Śl., Piekarach, Siemianowicach, Mikołowie, Widziszawiu, Pszczynie i Żorach. W Katowicach i Królewskiej Hucie odbyły się wieczorowe wykłady o Misji Wewnętrznej, trwające po 3 dni.

Po okresie wykacyjnym zostały urządzone kursy M. W. w Tarnowskich Górach (8 października), w Lublińcu (22 października), w Bielsku (5 listopada) i w Cieszynie (26 listopada).

Jak poprzednio, każdy kurs rozpoczął się nabożeństwem wspólnym w kościele, potem wykłady na sali i zakończenie również w kościele z błogosławieństwem sakramentalnym. Referaty wygłaszali: Ks. dr. Kominiek, Ks. red. Czernecki, Ks. red. Siemienik, Ks. red. Woźnica, Ks. prof. Skudrzyk Emil i Ojciec Oblat. Obejmowały one przedewszystkiem dziedzinę Misji Wewnętrznej, jej cele, zadania, środki apostołstwa, stosunek do Akcji Katolickiej i t. d. Mówiono też o rekolekcjach zamkniętych jako źródle apostołskiego czynu i o prasie, której utrzymanie w duchu katolickim i moralnym należy do jednego z wielkich zadań katolików. Frekwencja na kursach była zawsze liczna.

Obok kursów M. W. polskich odbyły się również kursy M. W. dla członków zarządów stow. kościelnych niemieckich. W Królewskiej Hucie i w Katowicach w formie 3-dniowych wykładów wieczorowych, zaś w Piekarach i w Bielsku — jednodniowe kursy M. W.



Uroczystość ku czci św. Bernadyty.

Święto Niepokalanego Poczęcia obchodzono w Załężu z nadzwyczajną okazałością, połączono bowiem z niem uczczenie św. Bernadety, którą właśnie w tym dniu została przez Ojca św. kanonizowana. Znajduje się w naszym kościele parafjalnym od samego początku jego istnienia piękna grotta lourdeńska z ślicznymi figurami Niepokalanej i Bernadety. Aby dzień, w którym błog. Bernadeta została przyjęta w poczet świętych, upamiętnić, wystawiono specjalny wspaniały, bogato oświetlony ołtarz, na który przeniesiono figurę Matki Najświętszej z grotty. W święto samo przeniesiono na tenże ołtarz rano o godzinie 6 w uroczystym pochodzie także figurę św. Bernadety. Młodzieńcy sodalisi nieśli figurę na pięknym feretronie, zaś sodaliski panny szły z świecami. Starsi sodalisi i sodaliski przyłączyli się do pochodu. Sprawiono piękną aureolę dla figury Bernadety staraniem Kongregacji matek. Tę aureolę poświęcił Ks. prałat Kubis przed ołtarzem Niepokalanej, przyozdobił nią figurę nowej Świętej i polecił krótkimi, jędrnymi słowy całą parafję opiece tej Świętej. Po tej ceremonii młodzieńcy ustawili figurę na ołtarzu, przy którym zostały odprawione uroczyste Roraty. W tym dniu odbyła się również wspólna Komunia św. Po Roratach przyjęto 16 matek do Sodalicji Kobiet. Popołudniu odbyły się uroczyste nieszpory z kazaniem okolicznościowym o św. Bernadecie, poczem Sodalicja Panien obrała sobie św. Bernadetę, która za życia także była Sodaliską, na drugą patronkę. Po uroczystościach kościelnych odbyła się na sali Sióstr św. Jadwigi Akademia Marjańska.

Aby tę uroczystość lepiej utrwalić w pamięci parafjan a szczególnie członków Kongregacji Marjańskiej, odprawia się oktawa i to rano przy Roratach a wieczorem z egzortami i błog. sakramentalnem.

Po święcie Niepokalanej.

Niepokalana Marja! Patronka wielu Kongregacyj i Sodalicyj! Święto Niepokalanego Poczęcia N. M. P., przypadające na dzień 8 grudnia uczciło wiele stowarzyszeń Marjańskich, uczciło różnie, ale wszędzie w duchu głębokiej czci, wiary i miłości. Uczcili Marię starzy i młodzi, w stowarzyszeniach i prywatnie, prosząc o błogosławieństwo i pomoc. Pomysłów do okazania wierności, przywiązania dziecięcego i wielkiego do Niej nabożeństwa nie brakowało... Gorliwość okazała się w różnych kierunkach... Oto:

Wieczorem 8 grudnia hal olbrzymi w gmachu Województwa Śląskiego oświetlony setką lamp, na balkonach rzędy publiczności, naczelne miejsce zajmuje J. E. Ks. Biskup Adamski, Przew. Duchowieństwo, przedstawiciele władz i urzędów. Wszyscy, w liczbie około 200 osób, zebrali się na akademię marjańską, zorganizowaną przez Sodalicję Inteligencji Męskiej w Katowicach. Nastrój wspaniały. Referat sodalisa p. mgr. Romera wnosi dużo myśli głębokich. Następują występy. Chór męski „Echo“ pod kier. p. p. prof. Leszczyńskiego wykonuje artystycznie szereg utworów muzycznych. 2 członkinie Sodalicji Pań wygłaszają piękne recytacje, zespół muzyczny uczniów Gimn. Państwowego odgrywa kilka utworów

skrzypcowych. Przy końcu akademji przemawia Ks. Biskup. Po blisko 2-godzinnem pobyciu uczestnicy pełni zadowolenia i radości opuszczają salę, gdzie się odbyła wzniosła akademja.

Dziwny nastrój na sali... Dziewczęta usiadły w równych rzędach, na ich twarzach odbija się skupienie: Za chwilę wchodzi ksiądz, krótka modlitwa i konferencja... Co to? To kongregacja urządziła t. zw. triduum, trzydniowe wieczorne nauki dla swych członkiń celem przygotowania dusz i serc na powitanie Marji Niepokalanej. Jakie to pięknie i chwalebne!

Godzina 18-ta. Gromadka czcicieli Marji skupia się przed utrojonym bocznym ołtarzem Matki Boskiej. Pieśń dźwięczna unosi się głośnie echem w kościele... Potem kilka modlitw, litanja, „Pod Twoją Obronę“, 2 lub 3 zwrotki pieśni marjańskiej, chwila skupienia... i dziewczęta wychodzą z kościoła. I tak trwa przez 9 dni. Zawsze w tem samym gronie, zawsze pobożnie kongreganistki odprawiały nowennę ku czci Niepokalanej. A dokonało tego kilkanaście kongregacyj.

Piątek, godzina 9,10: Choć adwent — ołtarz kwiatami ozdobiony... Ludzie od rana cisną się do kościoła, by złożyć Matce Bożej w Jej wielkie święto hołd. Przed ołtarzem sztandary z wizerunkami Marji i inne. Przed samem prezbiterjum liczna gromada młodzieży ustawiła się w porządku szeregowym. Kapłan wychodzi na stopnie ołtarza, krótko a serdecznie przemawia, potem wszyscy odmawiają głośnie akt poświęcenia się, kapłan wręcza medale i dyplomy. Dalej Msza św. i wspólna Komunia św. Oto w uroczystość Niepokalanej nowe zastępy młodzieńców i dziewcząt oddały się w osobliwą opiekę Marji.

W niektórych miejscowościach na Śląsku odbyły się akademje połączone z obchodem jubileuszowym istnienia Kongregacyi. Tak np. Kongregacja przy kościele św. Piotra i Pawła obchodziła 30-lecie istnienia Kongregacyi, Kongregacja w Rudzie — 15-lecie, połączone z akademją.

Gdzieindziej odbyły się w tym dniu uroczyste zebrania poprzedzone wspólną Komunią św. w kościele i t. d.

A czy to wszystkie Kongregacje uczyły w wymieniony poprzednio sposób lub inny święto Marjańskie...? Może tak, ale my o tem nie wiemy... W roku następnym każda kongregacja prześle huczne sprawozdanie z obchodu dnia 8 grudnia do Sekretarjatu Misji Wewnętrznej.



Redaktor: Ks. Józef Czernecki, Katowice.

Nakładem Kurji Diecezjalnej w Katowicach.

Druk: Księgarnia i Drukarnia Katolicka S. A., Katowice, M. Piłsudskiego 58.
Prenumerata roczna 3,60 zł. — Redakcja: Katowice, ulca Marsz. Piłsudskiego 20. — Administracja: Katowice, ulca Marsz. Piłsudskiego 58.



Przeszło 70 Kongregacyj

zamówiło już Pamiętnik Zjazdu Marjańskiego
w Katowicach pt.

Za głosem Marji

Niech więc i reszta Kongregacyj jaknajprędzej
nadeśle swe zamówienia!

c e n a

40 gr

Przy zamówieniu więcej niż 5 egzemplarzy tylko 35 gr

Adres: **Sekretariat Misji Wewnętrznej
Katowice, Marszałka Siłsudskiego 20**

Prosimy pośpieszyć się, gdyż może
pamiętników już zabraknąć!

